

## ZAMIEĆ z perspektywy mokrych gaci

Autor: Ania Jaworska

Pisać o wydarzeniach z tego niepowtarzalnego weekendu nie można tak bez przygotowania. Zatem koc, ciepła herbata (kubek 0,5 litra) i oczywiście kot, który postanawia ułożyć się na rękach. Jak ma być ciepło, to w cały organizm.

Na początku facebook poinformował, że jest impreza.

Obiecywano, że będzie zimno, będzie pod górę, będzie niepowtarzalnie. WOW! Zapaliłam się momentalnie. Ale po chwili krótka refleksja...no bo ja w końcu niereformowalny zmarzłak jestem. Mój wewnętrzny termometr odbiega od normy...czy to jest zatem dobry pomysł, żebym ja pchała się tam, gdzie będzie zimno

No tak szczerze... no to nie, dlatego się zarejestrowałam.

Zanim jednak pomknęłam z chłopakami na spotkanie przygody, trzeba było się spakować.

Ten, kto się kiedykolwiek w życiu przeprowadzał wie, że do momentu wypakowania pudeł nic nie jest oczywiste.

Zatem tak: śpiwór. No dobra, pamiętałam, że wszystkie śpiwory zostały zrzucone do piwnicy.

Dlatego swój znalazłam godzinę później, w miskach. I nie była to piwnica, tylko strych.

Potem jeszcze trzeba było znaleźć plecak i camela.

Dzwonię do trenera i pytam, czy oby przypadkiem nie ma ze sobą plecaka biegowego (w końcu szukam go od jakiś 40 minut), skoro po pracy szedł na piwo integracyjne?

Zgadnijcie co usłyszałam...

Potem jeszcze było poszukiwanie folii NRC (garaż, skrzynka ze śrubkami), kompletu skarpetek (kot nagle postanowił udawać martwego), czołówki (sypialnia, tak...no...nie pytajcie...sama nie wiem...), na szczęście wiedziałam gdzie są moje ubrania (chwila...polar?! Pudło ze szpilkami!). Kawał ze mnie ultramaratonki, nie ma co.

Pakowanie wymagało sporo wysiłku, ale się udało. Przeszłam na miejscu weryfikację sprzętu i grzecznie, z całą resztą, podreptałam na linię startu. Potem krótki test z matematyki, tzn. kazano nam odliczać od 10 do 0, uff daliśmy radę - wypuścili nas na trasę!

I ruszyliśmy!

A pogoda była wymarzona: mróz, śnieg, lód. Wszyscy z podniecania od razu dostali wypieków, nawet na nosach ;-)

Przy stukocie raków na butach, stukocie kijków i pośród radosnego pokrzykiwania, odprowadzani przez pełne - nazwijmy to podziwem - pełne podziwu spojrzenia przechodniów, pomknęliśmy tam, gdzie nam kazano. Na szczęście bardzo szybko skręcało się ze ścieżki w las i można było przestać biec i zacząć wyczekiwane przeze mnie wdrapywanie się pod górę. Mamo, tato, dziękuję za Wam dobre geny!

Potem znowu trochę biegania i wspinania, biegania i wspinania, biegania i wspinania...

Gdzieś między jednym "biegania i wspinania" poczułam, że mam mokre udo. Dotknęłam rękawiczką do nogi...rękawiczka cała mokra. No ja rozumiem, że człowiek się poci, ale bez przesady. Mówimy o temperaturach minusowych, prawda? Ale nie mogło mi się zdawać, bo mam całą mokrą rękawiczkę. No dobra, to spróbujemy drugą. Oj, czyli się spociłam. Ale chwila, czemu mam mokre łydki? I tak rozważając nowe i wyjątkowo nieoczekiwane okoliczności, dzielnie przebieierałam nóżkami dalej. Jak długo? Na tyle długo, żeby cała woda z camela wylała mi się na plecy i nogi, docierając do butów. Jak już dobiegłam do schroniska, to na plecach pojawiała się okazała warstwa lodu.

Nie było to najszcześniejsze odkrycie, dlatego tylko zarzuciłam warkoczem i pomknęłam na dół. Jeżeli kiedykolwiek pobiłam rekord prędkości w zbieganiu na dół, to było właśnie wtedy.

Jeżeli kiedykolwiek miałam lód na ubraniu, to było właśnie wtedy.

Jeżeli kiedykolwiek zamarzył mi rękawiczki, to było właśnie wtedy.

Na mecie, po pierwszym kółku, zapytano mnie jak się czuję. W bystrości swojej odpowiedziałam, że mi zimno. A potem był marsz do lekarza. Po godzinie pojenia i karmienia ogłosiłam, że jeszcze coś tam dziś pobiegam. I wtedy okazało się, że całe to wcześniejsze zamieszanie z pakowaniem było totalnie niepotrzebne.

W atmosferze ogólnego poruszenia okazało się, że każdy coś mi chętnie odda.

I tak w damsko-męskim odzieniu, z maścią na stopach, której składu nie umiem powtórzyć, razem z kolegą Michałem, podreptałam na kolejne kółeczko. I później jeszcze jedno.

Bieganie nocą ma swój urok. Biegania zimową nocą jeszcze większy.

Jest w tym jakaś magia, która hipnotyzuje i ciągnie pod górę. Podobno na takich zawodach biegnie głowa, ja bym dodała, że biegną też oczy. Kilka razy zatrzymywaliśmy się tylko po to, żeby spojrzeć przed siebie i podziwiać. Takie krótkie chwile napędzają mnie i pozwalają spiąć się na kolejne metry. Czemu? Bo wiem, że im wyżej, tym piękniej.

Zwłaszcza, że pod szczytem, kiedy nie ma już chmur, można zobaczyć niebo usiane gwiazdami. Silne wrażenie zrobiło na mnie również to, że przez cały czas w powietrzu wirował drobny śnieg. W połączeniu ze światłem czołówki dawało to wrażenie biegania w opiłkach srebra. Bajka? Pewnie!

Oczywiście były też trudniejsze momenty. W końcu wiało na niektórych odcinkach, bywało niebezpiecznie, temperatura postanowiła osiągnąć te - 20 stopni na szczycie i jeszcze popieścić po nosach wiatrem. Jednym zamarzały brody, innym wąsy, brwi.

Mi z braku laku zamarzał warkocz. Były też emocjonujące zbiegi na dół.

Wszędzie tylko karteczki " pozor!!!". Tak, były mi bliskie te pozory, a konkretniej pozory spokoju. Czasem nóżka faktycznie drgnęła, ale jak już przestawała to "Ooh, we're half way there! Whoah, livin' on a prayer!" :-)

Znacie te momenty, kiedy leci się na dół, prosto jak strzała, a tu nagle niebo przed oczami? I sylwetka jakoś mniej pionowa niż ułamek sekundy temu. I dziwnie tłumaczący wszystko lód pod plecami. Takich niespodzianek na trasie miałam trzy, zaowocowały siniakiem wielkości arbuza. Kto by pomyślał, arbus w środku zimy ;-)

Po krótkiej drzemce, rano było wyjście na kolejną pętlę. Było trudniej, ale widoki i odczucia niezapomniane. Piękne słońce, błękitne niebo, przejrzyste powietrze i bardzo przyjemny mrozek (w końcu tylko -7 st.) Warto było wstać!

W końcu nie jest to takie oczywiste, że człowiek zobaczy jeszcze tęczę w takich okolicznościach - nam się udało!

Jak opowiadam to tym, co robiłam w ten styczniowy weekend, wiele osób patrzy się na mnie z niedowierzaniem i pyta, co mnie zmusiło do czegoś tak ...mało rozsądnego?

A ja wiem, że niektórych sytuacji i decyzji nie można wytłumaczyć, trzeba coś przeżyć.

Dlatego namawiam na to, aby pojechali za mną za rok. Wiem, że są doświadczenia, których się nie żałuje.

Oficjalnie zakończyłam zawody z wynikiem czterech pętli. Miałam apetyt na pięć, nie wyszło. Ok, za rok się uda :-)

Chciałam się dobrze bawić, efekt przerósł moje oczekiwania.

I chyba o to chodzi, żeby mieć ten motywujący niedosyt, chcieć więcej, dziękować za super imprezę i chociaż przez chwilę poczuć się nieśmiertelnym i po prostu biec po górach.